

Lanternjack

[Oneshot] [Dark] [Adventure] [Lovecraft]

Johnny

Przez stulecia wokół zamku Ponyville, jak i położonej nieopodal wioski narosła moc legend. Każdy niemal tubylec, zapytany, gotów jest wieść długie opowieści pełne zabobonnych przesądów, z których jako przykład mogę podać historię niejakiego Lanternjacka, słynnego z powodu swoich domniemyanych sukcesów w paktowaniu ze złymi mocami. Opowieść tę uważa się powszechnie za co najwyżej przyjemną rozrywkę, choć, jak sam się przekonałem, przysłowie o jednym ziarnie prawdy w niektórych przypadkach bywa zaskakująco trafne.

Pragnąc rozpocząć relację z dziwnych zdarzeń, których byłem naocznym świadkiem, muszę koniecznie przedstawić naturę problemu, który ostatniego dnia wyjątkowo chłodnego października zawiódł mnie w okolice Ponyville. Istotny element historii stanowi znajdujący się w posiadaniu mojej rodziny obszerny księgozbiór, którego znaczną część stanowią pamiętniki z dawno minionych dni. Niezwykle interesując się historią, często zagłębiałem się w ich lekturze, odnajdując w tym wiedzę, której w inszych źródłach szukałbym z wielką trudnością. Nawet jednak owe pamiętniki nieraz skąpiły mi informacji, a tchnięty jakimś niewytłumaczalnym dla mnie impulsem zdecydowałem się wyjaśnić jedną z zawartych pośród tych tekstów tajemnic, wyrażaną jedynie nazwą *Akry Słodkich Jabłek*.

Oczywiście, nie omieszkalem przestudiować wielu map, lecz nawet pilne zagłębianie się w najdokładniejsze atlasy nie pozwoliło mi odnieść jakiegoś godnego uwagi sukcesu. Podobnie sprawy się miały, gdy próbowałem rozpytywać obeznanych w temacie historyków i dopiero gdy byłem już gotów się poddać, jeden czy dwóch starców przypomniało sobie o pewnej niewielkiej wiosce położonej w pobliżu Canterlotu.

Niewiele myśląc, wyruszyłem w drogę do Ponyville, gdzie przywitała mnie gęsta mgła, w której ozdoby rozwieszone z okazji Nocy Koszmarów przybierały jakieś niepokojące kształty. Słońce chyliło się już ku zachodowi, więc nie tracąc czasu, jałem rozpytywać o Akry Słodkich Jabłek. Tutejsze kucyki, które wówczas szykowały się do typowego dla ówczesnego święta festynu i powoli przywdziewały charakterystyczne kostiumy, wykazywały zaskakującą do mnie niechęć i tylko mój upór pozwolił mi w końcu uzyskać lakoniczną informację o znajdującej się na obrzeżach miasteczka opuszczonej farmie.

Nie czekała mnie długa wędrówka, choć będąc już na skraju wioski, zainteresowałem się resztkami chaty wydrążonej swego czasu w jakiś dumnym drzewie i, jak wskazywały wyraźne ślady, wiele lat temu strawionej przez pożar. Zastanowiłem się, dlaczego nie uprzątnięto tych szpecących okolicę ruin, a wręcz wydawało się, że dbano o nie, jakby stanowiły jakiś nierozłączny element Ponyville. Ze zwęglonych gałęzi zwisały liczne nocnokoszmarowe ozdoby, z których najliczniejsze były jabłka, a także maleńkie, wydrążone w podobnych owocach latarenki ze świeczkami w środku.

Był to zwyczaj, nie powiem, osobliwy, gdyż w moich stronach, z okazji Nocy Koszmarów, jabłka były maczane w toffi i zjadane ze smakiem lub wręczane spragnionym łakoci szkrabom. Popularna była również zabawa polegająca na jak najszybszym pochłanianiu owoców zawieszonych na sznurku lub wyławianiu ich z balii pełnej wody. Z kolei rzeźbienie w jabłkach ograniczało się do wyrycia w nich imion potencjalnych kochanków i jeszcze nie spotkałem się, by przerabiano je na latarnie. W końcu o wiele popularniejsze w tej roli były dynie, którym nadawano charakterystyczne oblicze, przypisywane nieraz przerażającemu Bezgłowemu Ogierowi.

Chcąc przegnać te bezcelowe rozmyślania, powiedziałem sobie „Co kraj, to obyczaj” – moje myśli zaraz miały zająć rzeczy o wiele dla mnie ważniejsze.

Szybko znalazłem się na polach mających być Akrami Słodkich Jabłek. Nazwa „opuszczona farma” była adekwatna dla rzeczywistości – faktycznie miało się wrażenie, jakby czas zatrzymał się tutaj wieki temu. Ciągące się jak okiem sięgnąć, nagie połacie ziemi nie pozostawiały wątpliwości, iż stanowiły niegdyś pola uprawne, choć trudno mi było dopatrzeć się sensu w nadanej im nazwie – nie nie wskazywało na to, by kiedykolwiek rosły tutaj jabłonie.

Nie mając wielkiego wyboru, udałem się w stronę kompleksu drewnianych budynków. Wchodząc, zatrzymał mnie dźwięk czyichś słów. Świącie przekonany, że usłyszałem cichutkie „Mam nadzieję, że mi wybaczycie”, po którym nastąpił ledwo dosłyszalny szelest skórzanych skrzydeł, obejrzałem się i dokładnie zbadałem wzrokiem okolice. Nic jednak nie wyglądało niepokojąco, toteż rozpocząłem przeszukiwanie budynku, jak się później okazało, bezowocnie.

Znalazłszy się na piętrze, w starej sypialni, której jedynym ciekawym elementem była szmaciana lalka osła w groszkowanych portkach, zacząłem wątpić w sens swojej misji. Niemal pogodzony z faktem, że Akry Słodkich Jabłek pozostaną dla mnie tajemnicą, zbierałem się już do opuszczenia niegościnnego domu, kiedy moje uszy ponownie nawiedził ten sam głos, który zaskoczył mnie przy wejściu, tym razem układając się w słowa „Może przełożymy to na...”. Nie mając wątpliwości, skąd dobiegał ten dźwięk, podbiegłem do okna, gdzie dosłyszałem jeszcze słowa „straszenie głodna”.

Nie to jednak było najdziwniejsze. Choć wymyka się to racjonalnemu pojmowaniu, ujrzałem, że do niedawna ogołocone pola nagle pokryły się niezliczonymi ilościami jabłoni, uginającymi się od bogactwa bajecznie apetycznych owoców. Oczywiście, chcąc zbadać to dziwne zjawisko, natychmiast wybiegłem na zewnątrz, gdzie oszołomiony dotknąłem pnia jednego z drzew, a nawet skosztowałem jego owoców. Były prawdziwe.

Truchtem przechadzałem się po tym dziwnym sadzie, wypatrując jakiegoś szczegółu, który potwierdziłby, że są to tylko moje urojenia, lecz po pewnym czasie natrafiłem jedynie na coś jeszcze bardziej niepokojącego. Jedno ze znajdujących się w oddali drzew nagle zabłysło, jakby ktoś rozpałił na nim liczne światełka. Nawet nie zastanawiając się, czy to bezpieczne, przyspieszyłem kroku, a znalazłszy się już bardzo blisko, zobaczyłem, że błyski, których źródłem musiały być wiszące na drzewie jabłka, zgasły, pozostawiając po sobie jedynie nadpsute owoce, z których ktoś jakby wyssał soki.

Zaraz rozbłysły kolejne drzewa i tym razem nie miałem problemu, by dostrzec, że każdym źródłem błysków były jabłka wyrzeźbione w kształt nocnokoszmarowej latarni. Ponownie usłyszałem głos, dobiegające z niedaleka, wyrwane z kontekstu słowa brzmiące podobnie do „najgorszych przecuć”. Serce mi stanęło, a po grzbiecie przebiegły ciarki. Słuch, wyostrzony w obliczu nieznanego, pozwolił mi usłyszeć kolejne słowa – „tak soczyście i... słodko” wypowiedziane przez ten sam przerażający głos, zakończone odgłosem podobnym do oblizania warg i kolejnym, przywodzącym na myśl ugryzienie jakiejś twardej powierzchni.

Otoczenie, jakby chcąc przestraszyć mnie jeszcze bardziej, zwariowało. Zewsząd rozbłyskiwały jabłkowe latarnie, a wzrok płatał mi figle, ukazując czmychający pomiędzy krzakami cień.

W końcu nie wytrzymałem. Zacząłem biec na oślep, w duchu modląc się, by jak najszybciej znaleźć się poza zasięgiem tych przerażających dziwów. Już zdawało mi się, że wydostałem się z tego piekła, kiedy zdębiały zatrzymałem się pod jednym z większych drzew w sadzie, ogołoconym z liści i z jednym tylko elementem zwisającym z gałęzi jak jakiś groteskowy owoc.

Lekko poruszający się obiekt wyglądał jak odrobinę przezroczysty, monstrualnych rozmiarów nietoperz owinięty błoną swoich skrzydeł. To jednak nie był nietoperz. Stwór, wyczuwszy moją obecność, gwałtownie rozpostarł skrzydła, ukazując postać, której najbardziej chory umysł nie potrafiłby stworzyć. Nie wiem, czy strach nie deformuje teraz moich wspomnień, lecz z całą stanowczością mogę stwierdzić, że długie włosy zjawy miały w sobie blask, jaki widzi się we fryzurach młodych klaczy,

a sierść mogłaby być uznana za ładną, gdyby jej upiorna bladość nie kontrastowała ze szkarłatem oczu, na widok których natychmiast nabrałem nowych sił na ucieczkę.

Trudno mi określić, jak zdołałem umknąć przed poczwarą, która być może goniła mnie tylko w moim wyobrażeniu. Faktem jest, że gdy odważyłem się obejrzeć, byłem już przy znajomym, spalonym do cna budynku, a w oddali ponownie widniały jedynie puste pola, bez śladu grozy, jaką przedtem tam ujrzałem.

Nie ma dnia, w którym nie staram się przekonać samego siebie, że były to koszmarnie sny, a goniącą mnie zjawą był tylko bajkowy Lanternjack, którego zgodnie z ponyvillskim zwyczajem odpędzają małe, jabłkowe latarenki. Nie wiem. Nigdy nie znalazłem w sobie odwagi, by dalej badać zagadkę Akrów Słodkich Jabłek.

